Nr. 9. Kraków, 15 Września 1891 r. Rok I.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi w Krakowie:
rocznie . . . 7 złr. 20 centów
kwartalnie . 1 „ 80 „
miesięcznie . — „ 60 „
Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.
Numer pojedynczy kosztuje 30 ct.
Rękopismów drobnych nie zwraca się.

MYŚL

Prenumerata na prowincyi
i w całej Monarchii Austro-Węgierskiej wynosi:
rocznie 8 złr. — ct., kwart. 2 złr. — ct.
W Niemczech:
rocznie 16 m., pół rocznie 8 m., kwartal. 4 m.
We Francyi:
rocznie 20 franków, kwartalnie 5 fran.

Redakcya i Administracya znajdują się w Krakowie przy ulicy Zielonej L. 8, gdzie też uprasza się nadsyłać wszelkie przekazy i pisma. — Prenumeratę przyjmują również na miejscu wszystkie księgarnie, we Lwowie zaś: Skład główny w księgarni Seyfartha i Czajkowskiego. —

OD REDAKCYI.

W następnym kwartale zamieścimy w łamach „Myśli“ cały szereg nowych prac krytycznych i beletrystycznych pierwszorzędnych pisarzy. — I tak w tece redakcyjnej posiadamy już w większej części następujące prace; nowele: Bałuckiego, Orzeszkowej, Abgara-Sołtana, Rossowskiego, L. Meyeta, Niedźwieckiego; poemat Jana Kasprowicza, osnuty na tle współczesnem pt.: „Il amore Sesperato“; Dr. H. Biegeleisena: „Profile współczesnych autorek“ i studyum o „George Eliot“; „Gawędy literackie i artystyczne“ Cezarego Jellenty; poezye: Konopnickiej, Pileckiego, Rossowskiego, Langego i Tetmajera; „Listy paryskie“ Gabrjeli Zapolskiej; „O teatrze warszawskim“ G. Kempnera, nadto rozpoczniemy wkrótce druk najnowszego romansu Zoli: **„Wojna“** (La guerre).

PSYCHOLOGIA NA KONGRESIE KRAKOWSKIM.

II.

Przypuszczenia te opierały się na mniemaniach raczej utartych, niż uzasadnionych. Przyzwyczajono się jeszcze z dawnych czasów uważać nauki przyrodnicze za dążące z natury swojej do wyeliminowania zupełnego filozofii krytycznej, a materyalistyczny pogląd na świat za taki, do którego przyrodnicy najbardziej ciążą. Przez proces umysłowy, będący raczej asocyacyą wyobrażeń, niż surowem myśleniem, przyzwyczajono się mniemać, że psycholog, który naukę swoją do przyrodniczych zalicza, *eo ipso* uważa duszę za rodzaj materyi, a funkcye psychiczne za pewien specyalny odłam funkcyj biologicznych. — Takie znowu mniemanie gruntuje się na fałszywem, jakkolwiek dziś jeszcze bardzo rozpowszechnionem i podtrzymywanem przez wielu znakomitych myślicieli, określeniu nauk przyrodniczych, jako takich, które się zajmują własnościami materyi. Stąd niewłaściwy podział całej nauki na dwaj wielkie odłamy — wiedzę materyi — nauki przyrodnicze, i wiedzę ducha — psychologię, socyologię, historyę, filozofię. W istocie zaś nie wiemy, ani co to jest materya, ani co to jest duch, nietylko nie znamy ich istoty, ale ich nawet ze strony zjawiskowej nie jesteśmy w stanie ściśle i niedwuznacznie zdefiniować i nie możemy za zasadę klasyfikacyi przyjmować czegoś tak chwiejnego i niepewnego. Natomiast, umiejąc dokładnie odróżnić zasadę od zjawiska, możemy podzielić całą wiedzę na naukę o zasadach (filozofię) i naukę o zjawiskach; ta ostatnia dzieli się znowuż na dwie wielkie grupy: jedna zajmuje się wykryciem stałych związków przyczynowych pomiędzy zjawiskami — to są nauki przyrodnicze, druga danem następstwem zjawisk w czasie — to są nauki historyczne.

Twierdzenie, że psychologia jest nauką przyrodniczą, oznacza, że zajmuje się ona badaniem stałych związków przyczynowych, w których zjawiska psychiczne pozostają między sobą oraz ze zjawiskami biologicznemi i mechanicznemi. Nic więcej, tylko to. Nie oznacza bynajmniej żadnych tendencyj materyalistycznych, bo materyalizm jest stanowiskiem fałszywem i nienaukowem nietylko w psychologii, ale i w fizyce. Oznacza, że psychologia nie jest częścią filozofii, za jaką ją dawniej uważano, ale nie oznacza wcale, aby nie była nauką filozoficzną. Wszystkie nauki są filozoficznemi, a przyrodnicze, w dzisiejszym stanie wiedzy, w stopniu daleko większym, niż historyczne.

Z natury zaś psychologii, związek jej z filozofią jest silniejszym, a punkty styczne z nią liczniejszemi, niż jakiejkolwiek innej z nauk przyrodniczych. Wreszcie sama okoliczność, że psychologią zajmują się wyłącznie niemal fachowi filozofowie, a że z drugiej strony filozofowie polscy nie mieli jeszcze dotychczas ani razu sposobności do zjechania się i porozumienia, kazała przypuszczać, że posiedzenia sekcyi psychologicznej będą miały charakter filozoficzny.

Tak też było w rzeczywistości. Jeżeli z wygłoszonych na sekcyi referatów dwa tylko (p. Rubczyńskiego „Teorya poznania arystotelików“ i niżej podpisanego „Psychologia i teorya poznania“) miały zakrój ogólniej filozoficzny, to zato dyskusya, zarówno nad temi jak i nad innemi odczytami przybierała charakter filozoficzny i nieraz zaczepiała o najogólniejsze zagadnienia. Między innemi była tam parę razy poruszaną kwestya właściwości zaliczenia psychologii do nauk przyrodniczych, była mowa o determinizmie i indeterminizmie, o pojęciach przyczynowości i celowości, o stosunku ilościowym przyczyny do skutku etc.

Referatów wszystkich zapowiedziano 12, wygłoszono rzeczywiście 10. Były między niemi interesujące i niepozbawione wartości naukowej. Wykład p. Mahrburga „O teoryi uczuć elementarnych“ był zarysem całkowitej, na silnych podstawach naukowych opartej i konsekwentnie zbudowanej teoryi psychologicznej przyjemności i przykrości. Drugi odczyt tegoż autora „O apercepcyi“ został dla braku czasu skróconym tak, że ledwie szkic najogólniejszy pozostał. Bardzo sumiennem i umiejętnem opracowaniem odznaczał się odczyt p. Raciborskiego „O wartości mierzenia objawów psychicznych“, w którym prelegent bronił poglądu, że objawy psychiczne nie mogą być matematycznie mierzone. P. Złotnicki w referacie „O mechanizmie uwagi“ przedstawił i skrytykował poglądy na ten przedmiot Ribot'a. P. Ochorowicz mówił „O psychologii i medycynie“, usiłując wykazać to, czemu, co prawda, jak słusznie zauważył prof. Cybulski, nie przeczy żaden lekarz i żaden psycholog:

że lekarze w wielu razach winni korzystać ze wskazówek psychologii, i że psychologia znaczne przynosi medycynie korzyści. Zbyt daleko idące wnioski prelegenta z tych założeń obalił prof. Cybulski. P. Rzeczniowski wykładał „O sposobie oddziaływania na hypnotyzm terapeutycznie stosowany histeryków i nerwowo zwyrodniałych“, a p. Noiszewski demonstrował dwa skonstruowane przez siebie przyrządy psychometryczne.

Słówko o jednym szczególe zewnętrznym. P. Ochorowicz, obrany na przewodniczącego 1-go posiedzenia, wyraził się, że wybór ten uważa za dowód uznania ze strony zgromadzenia dla stanowiska, jakie zajął w znanym swoim zatargu z lekarzami. Zdaje mi się, że była to mylna interpretacya. Pierwiastkowo zaproponowano p. Raciborskiego, którego też zgromadzenie wybrało przez aklamacyę; skoro się zaś p. Raciborski zrzekł przewodnictwa, jeden z obecnych postawił kandydaturę p. Ochorowicza, motywując ją w sposób, zdaniem naszem, dość nietaktowny tem, że p. Ochorowicz jest najznakomitszym psychologiem polskim. W dysputę o stopnie znakomitości oczywiście nikt wdawać się nie miał racyi ani ochoty, i wybrano p. Ochorowicza. Na posiedzeniach II i III nie obierano prezesa wcale, gdyż p. Ochorowicz, uważając się, jak sądzimy — mylnie, za obranego na przewodniczącego stałego, odrazu zajmował miejsce prezydyalne. IV-mu posiedzeniu przewodniczył prof. Cybulski, zasłużony inicyator sekcyi psychologicznej.

Ogólny przebieg posiedzeń, wartość niektórych referatów, znaczna liczba słuchaczy, ożywienie i zakrój filozoficzny dyskusyi — wykazały, że się zaczyna rzeczywisty ruch umysłowości polskiej na tem polu. Rezultaty są małe — ale od wielkich rzeczy nikt nie zaczyna, a te małe, które są, pozwalają jednak wróżyć, że będą rosły, i że na przyszłych zjazdach będziemy się wykazywali coraz większemi. Nie wątpimy, że sekcya psychologiczna będzie odtąd stale wchodziła w program zjazdów przyrodników i lekarzy polskich, gdyż okazała się zbyt żywotną, aby to nie miało mieć miejsca. Wpłynie to na zbliżenie się filozofów do przyrodników, co jest dla jednych i dla drugich potrzebnem i pożytecznem, i będzie, jak się można spodziewać, jednym z niemałoważnych czynników wzrostu i rozkwitu nauki polskiej.

Maryan Massonius.

„ŁZY“.

Łzy ludzkie płyną... Czasem padnie jaka
Łza cierpiącego nad siły biedaka .
Na pierś drgającą współczuciem człowieka,
A z niej krwią żywą litości ocieka.

Lecz częściej płyną w otchłań zapomnienia,
Pustą, bezdenną, głuchą bezlitośnie...
Czasem łza gorzka do serca przyrośnie
I tam w rdzę bólu wieczną się zamienia.

O! wypłakane bóle wnet przeminą,
Blask jasny słońca z łez oczy osuszy;
Lecz łzy gorące, co z oczu nie płyną,
Wrą wiecznym żarem w głębi ludzkiej duszy...

Witelion.

ELIZA ORZESZKOWA

STUDYUM

PRZEZ

J. NITOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Powieść pt.: „Meir Ezofowicz“ również na tle życia żydowskiego skreślona, jest pod względem artystycznym — bez zarzutu. Obok dobrej znajomości ksiąg kanonicznych żydowskich, obok doskonałego zrozumienia psychicznej strony jednostek, pogrążonych całkowicie w przeszłości, żyjących tylko ciałem w czasach teraźniejszych i stąd niemających najelementarniejszych nawet pojęć o życiu obecnem, wreszcie obok wielu przepysznie skreślonych scen pojedynczych — spostrzegamy tu jeszcze tak rzadką u powieściopisarzy znajomość psychologii tłumów, mas całych. Jak w „Elim Makowerze“ widzimy żyda w zetknięciu się ze światem rzeczywistym, goniącego bez wytchnienia za zyskiem, tak w „Meierze Ezofowiczu“ mamy obraz religijnego, wewnętrznego życia. Rabin Izaak Todros jest pod tym względem typową, znakomicie schwyconą z rzeczywistości, postacią.

Kreśląc różne warstwy społeczne, podpatrując życie różnych sfer towarzyskich, nie mogła Orzeszkowa tem samem pominąć w powieściach swoich i ludu, który wzbudzając coraz żywsze zajęcie się sobą w czasach obecnych, dostarcza obfitego materyału powieściopisarzom i poetom. Oprócz najpierwszej pracy swojej, a mianowicie nowelki pt.: „Obrazek z lat głodowych“, umieszczonej w „Tygodniku ilustrowanym“ z r. 1866, a skreślonej dziwnie pięknym przez swą prostotę stylem, autorka dała nam trzy obszerniejsze powieści jednotomowe: *Dziurdziowie*, *Niziny* i *Cham*, osnute na tle życia ludu białoruskiego, wśród którego spędziła niemal całe swe życie, a stąd miała możność poznania go gruntownie.

W pierwszej z tych powieści daje nam autorka żywemi barwami skreślony obraz ciemnoty ludu, prowadzącej często do zbrodni. Treść utworu da się zawrzeć w kilku słowach: we wsi krowy przestały dawać normalną ilość mleka, co widocznie musiało stać się za sprawą kobiety, mającej stosunki z siłą nieczystą; więc chłopi, by wykryć ową kobietę, na rozstajnych drogach rozniecają z drzew osinowych ogień, który posiada tę własność, że najpierw czarownice zwabia do siebie. Przypadek zdarzył, że po rozpaleniu drewek pierwsza nadeszła Pietrusia, kowalicha mocno już skądinąd podejrzywana oddawna o czary. Obecnie już wszelkie pod tym względem wątpliwości musiały zniknąć. Budząca się coraz silniej w chłopach ku niej nienawiść doprowadza w końcu do katastrofy: pijani Dziurdziowie, wracając z miasteczka do wsi, spotykają kowalichę, i dobywszy drągów z sanek, zabijają nieszczęśliwą kobietę. Największa zaleta tego utworu mieści się w stopniowym doskonale skreślonym rozwoju namiętności u kilku ludzi, z których każdy pała nienawiścią ku Pietrusi, mając do niej urazy osobiste. Średniowieczna wiara w czary i siłę nieczystą kwitnie dotąd jeszcze w całej swej sile wśród ludu i tylko jedna oświata zdoła ją wyplenić w przyszłości i powstrzymać od wielu niecnych czynów, których się chłop obecnie dopuszcza bez zdania nawet przed sobą jakiejbądź sprawy z tego, co robi.

Ten sam brak oświaty i smutne skutki jego widzimy i w drugiej powieści pt.: „Niziny“, w której mamy próbkę jednego z różnych rodzajów wyzysku, praktykowanego przez liczne mikroby społeczne na ciemnych i dających się łatwo oszukać chłopach. Takim mikrobem społecznym w opowiadaniu Orzeszkowej jest pokątny doradzca Kaprowski, jeden z tych bez określonego stanowiska ludzi, którzy pomimo zupełnego nieuctwa, dzięki jedynie wrodzonemu sprytowi i zupełnemu znieczuleniu pod względem moralnym, umieją zapewnić sobie dość wygodne życie i nawet mogliby dojść

do niemałej fortuny, gdyby nie trwonili pieniędzy z takąż łatwością, z jaką je zdobywają. Kaprowski podczas kilkoletniego urzędowania w jednem z biur sądowych, poznawszy praktycznie kodeksy prawne, rzuca dotychczasowe swe zajęcie i szuka łatwiejszego środka zdobywania grosza. Przy pomocy różnych agentów, jak np. dymisyonowany żołnierz Mikołaj lub żyd Jankiel zdobywa sobie dość liczną klientelę wśród chłopów albo uboższej szlachty, która w dobrej wierze składając w jego ręce swe sprawy, daje się wyzyskiwać w najniesumienniejszy sposób. Jedną właśnie z licznych ofiar takich jest biedna wyrobnica Krystyna, której zręczny agent Mikołaj, dzielący się łupami z panem adwokatem, nasunął myśl kołatania za pośrednictwem Kaprowskiego do władz wojskowych, aby chorowitego jej syna żołnierza nie wysłano ze stron rodzinnych.

Trzecią z kolei i ostatnią powieścią, na tle ludowem osnutą, a pod względem artystycznym najlepiej wykonaną jest „Cham“. I tu, jak i w wielu innych utworach swoich, wykazała autorka głęboką znajomość duszy ludzkiej. Typ bohatera powieści Pawła, rybaka nadniemeńskiego, pozornie niezgodny z rzeczywistością, a w istocie jakże prawdziwy choć niepospolity! W głębi ducha tego człowieka ukrywają się niezwykłej natury pierwiastki, które tlejąc niepostrzeżenie, przechodzą w gorącą, wielką miłość, acz cichą i spokojną, i czynią tego prostego, małomównego i zamkniętego w sobie człowieka bohaterem, zdolnym do największych ofiar, na jakie zdobyćby się potrafił nie każdy, z niechamskiego rodu pochodzący. Paweł po stracie ojca i żony, której nie kochał, po wyjściu za mąż siostry pozostał sam jeden w chacie i w ciszy, w samotności żyjąc, zamknął się w sobie, unikał nawet ludzi i całe dnie spędzał na ukochanym Niemnie, który dla niego był drugą żoną. Trafem poznał dziewczynę miejską, służącą u państwa przybyłych na letnie mieszkanie i odrazu uczuł w swej piersi jakieś nieznane dotychczas uczucie. Może właśnie niezwykła, oryginalna natura taka, jaką była Franka Chomcówna, najbardziej pociągnęła go do siebie nowością i niezwyczajnością swoją. Paweł, pomimo wielu wad brzydkich, których dopatrzył się w tej kobiecie, ożenił się z nią, wmawiając w siebie, że przez to wprowadza ją na drogę życia uczciwego i ratuje jej duszę od zguby. Gwałtowna miłość Chomcówny, a raczej namiętność, ostyga bardzo szybko i Franka, uczuwszy tęsknotę po dawnem życiu wśród błota miejskiego, ucieka od męża z lokajem państwa, przybyłych na wieś na letnie mieszkanie. Rozpacz Pawła była cicha i głęboka; nie złamała go jednak i po kilku dniach wrócił do zwykłych zajęć na Niemnie i ani jednego słowa skargi lub klątwy nikt nigdy z ust jego nie słyszał. Po trzech latach Franka powraca z dzieckiem, owocem stosunków z lokajem; Paweł ku niesłychanemu zdumieniu żony nawet jej wyrzutów żadnych nie czynił i wszystko puścił w niepamięć. Nareszcie wdzięczność kobiety była bez granic, ale jak każde uczucie u takich osobników szybko ostygło, i Franka znowu nawiązała stosunek miłosny tym razem z bratem szwagra męża, a następnie, gdy Paweł postanowił skutkiem wybryków żony energiczniej z nią się obchodzić, usiłuje struć go nawet. I tym razem idealny ten człowiek przebacza wszystko żonie, która odbiera sobie życie pod wpływem wstydu i wyrzutów rozbudzonego sumienia. „Cham“ pozostał znowu samotnym, mając przy sobie tylko syna żony, na którego przelał całą swą miłość; trudnił się dalej łowieniem ryb na Niemnie i nie umarł z rozpaczy, jakkolwiek bolał strasznie nie tyle z powodu straty Franusi, ile na myśl, że nie zdołał uratować jej duszy grzesznej.

Paweł jest jedną z najidealniejszych postaci w powieściach Orzeszkowej, a tem cenniejszą dla literatury, że w obecnych czasach tak niewolniczo przestrzeganego realizmu w beletrystyce niezmiernie trudno o typ podobnie piękny.

Z przeglądu tych trzech powieści łatwo wywnioskować, że właściwie najważniejsze kwestye ludowe nie są jeszcze poruszone przez autorkę. Wiele jeszcze dodatnich i ujemnych cech ludu, jego życie rodzinne i społeczne, a nadewszystko, rzecz pierworzędnej wagi, wzajemne stosunki między chatą i dworem czekają tak wytrawnego pióra Orzeszkowej. — W „Dziurdziach“ i w „Nizinach“ widzimy przeważnie ciemnotę ludu, w pierwszej powieści prowadzącą do zbrodni, w drugiej — dającą możność łatwego wyzyskiwania go i wyrządzania mu krzywd najrozmaitszych, których on często i nie rozumie nawet. Obok tego mamy w obu tych powieściach kilka typowych postaci ludowych, jak np. wszyscy Dziurdziowie, kowalicha, Krystyna i kilka innych mniejszego znaczenia. Pawła, bohatera powieści „Cham“, żadną miarą nie można uważać, jako typową postać ludu, jest to bowiem człowiek wyjątkowy, jakiego wśród ogółu wieśniaków bardzo rzadko napotkać można.

Jeszcze mniej, prawie nic, nie dała nam Orzeszkowa z życia klas mieszczańskich, robotniczych, odgrywających coraz ważniejszą rolę wobec podniesionej dość i coraz racyonalniej traktowanej kwestyi pracy ogólnej. W niektórych tylko nowelkach, jak np. „Sielanka nieróżowa“ lub „Julianka“, a następnie w powieści „Sylwek Cmentarnik“ i wreszcie w ostatniej powieści, a raczej noweli pt. „Jędza“, drukowanej w „Tygodniku ilustrowanym“, a dość zresztą miernej pod względem treści, możemy się dopatrzyć kilku rysów przelotnie schwyconych z życia ubogiej ludności miejskiej. Nadto nic więcej dotychczas nie mamy.

Dla zupełnego wypełnienia obrazu działalności naszej powieściopisarki, należy na zakończenie powiedzieć tu jeszcze słów kilka o kwestyi socyalnej, wielce wprawdzie ważnej i zajmującej w dziejach historycznego rozwoju narodów bardzo wybitne miejsce, jednakże objawiającej się wśród naszego społeczeństwa w formie mniej lub więcej wypaczonej, a obok tego z natury swojej nie nadającej się do szerszego rozbioru w powieściach, wychodzących w granicach Królestwa. U nas prądy te w ogóle dają bardzo słabe oznaki istnienia, jako nielicujące bynajmniej z żywotnemi kwestyami społeczeństwa, niemniej przeto głębiej nurtują na Litwie i Rusi, gdzie młodzież w znacznej części będąc pod wpływem obcych sobie dotychczas idej, mimowoli im ulega. W jednej ze swoich powieści pt.: „Sylwek Cmentarnik“ i w noweli „Widma“ Orzeszkowa, na ile to było możliwem, potrąca właśnie o tę kwestyę i ukazuje ją nam ze strony ujemnej tylko. Bohater noweli pt.: „Widma“ Julek, syn ubogich rodziców, natura nieokiełzana i od lat najmłodszych zdradzająca głuchy bunt przeciw wszelkiemu przymusowi, stanowi doskonały materyał do przejęcia się nowemi prądami. Gdyby był wychowywany w odmiennych warunkach, kierowany rozsądną ręką, mógłby był stać się pożytecznym członkiem społeczeństwa, z którego wyszedł, i zużytkować swoją energię w kierunku właściwym; będąc zaś zostawiony właściwie samemu sobie i ulegając różnym pobocznym wpływom, musiał zginąć dla ogółu. Sucha i męcząca nauka szkolna z jednej strony, widok materyalnego niedostatku rodziców, pomimo ciężkiej biurowej pracy ojca bez żadnych widoków na przyszłość z drugiej — wywołały w nim niechęć do istniejącego porządku społecznego. Dopóki Julek zostawał przy rodzicach, uczęszczając do gimnazyum, nie mógł jeszcze dokładnie sformułować sobie swych poglądów na ustrój społeczny i wszystkich swych pragnień; dopiero gdy wyjechał do Petersburga na uniwersytet, owiany nową atmosferą w towarzystwie swych kolegów, stał się doskonałym wyobrazicielem tej masy, co nie rozumiejąc i nie odczuwając istoty samej, przywiązuje się bardziej do form, i usiłując na każdym kroku chociażby w ruchach i odzieniu, tylko zamanifestować przed ogółem swój rozbrat ze wszystkiem, co trąci tradycyą, pędzi na oślep do zguby. (Dok. n.).

NOTATKI Z WAKACYJ.

I. Słoneczna kąpiel.

Nie pojmuję, dlaczego ludzie stronią od gorących promieni południa. Co do mnie lubię, jak kot, wygrzewać się na słońcu. Żar ten, wsiąkając w ciało, dziwa czyni. Żyłami zda się wówczas ogień krążyć; muszkuły kurczą się i wyprężają; nerwowe jakieś drżenie przebiega członki. Po chwili wzburzenie przechodzi; drgnięcia stają się coraz powolniejsze i słabsze; całą istotę opanowuje uczucie spokoju. Rozkoszna bezwładność rozluźnia ścięgna i mięśnie; powietrze prawie bez pomocy płuc wnika do najdalszych ich głębin; powieki opadają; po twarzy i czaszce przebiegają niewidzialne muszki, łechcąc i szczypiąc; dziwna lekkość łączy się z odurzeniem.

Taka słoneczna kąpiel usuwa troski, pragnienia, obawy, które jak brud na ciele, zalepiają sobą pory ducha.

Słońce rozmiękcza je i zmywa; odcięte od codzienności — zimna ona i mroczna — wstaje nagie „ja" ludzkie, wstają popędy tak, jak wyszły z łona natury, przytem uradowane, że wolno im bodaj na chwilę zrzucić szatę, którą dla nich wzięliśmy z warsztatu naszych powszednich kłamstw i fałszów.

Wyzwolone, trzepocą skrzydłami, ni to ptak, któremu udało się uciec z klatki.

Serce i mózg pełne są tego łopotu; rozlegają się po nich szumy i szmery tajemnicze, jak w lesie przed nadejściem burzy.

Ale tu nie grozi burza, walka wrogich kontrastów; wśród przejmującego żaru i oślepiającego światła, wszystko jest ogniem jednolitym i wszystko spokojem... To morze blasków niema ani dna ani brzegów; niema więc także powierzchni, którąby wściekle miotała falami, ani głębin wrących odmętem...

Przedemną, nademną, podemną, ze stron wszystkich płonie jasność złota; nie zanurzam się w niej, ona sama porywa mnie i unosi. Moje członki nieruchome, a jednak poruszam się szybko, lekko, jak liść rzucany wiatrem. Nic nie widzę prócz złocistej toni, nic nie czuję prócz ciepła, a jednak ogarnia mnie błogość, moje oczy nie doznają znużenia, po moich nerwach przebiega dreszcz rozkoszny. Jest mi, jak gdybym spoczywał cichutko w objęcich ukochanej kobiety, bezsilny od upojenia, albo jak gdybym był struną, po której przebiega dźwięk czarodziejski, dla niej samej niezrozumiały...

Bo, jak struna, naprężyły się wszystkie zmysły i jak ona nie mogą pojąć swego stanu; dotknęła snać strun tych ręka z poza ich sfery sięgająca...

II. Świerk.

Wije się ścieżka pod górę wyżej i wyżej.

Po obu jej stronach zioła i kwiaty. Niezabudki uchylają sinych swych czapeczek przed dumnym storczykiem, który jak magnat wyprostował się strojny, troskliwie ufryzowany i uperfumowany. Tuż obok, ni to bankier, rozpiera się pękaty brodawnik i potrząsa złocistą kiścią. Dokoła nich trawa niska, sprószona, usychająca, przypadła ku ziemi w zbitych kępkach — trawa, która jest paryasem zielnego społeczeństwa; z wysiłkiem zdobywa dla siebie warunki bytu, ale masą i wytrwałością niepokoi szczęśliwszych wybrańców.

Za temi rzędami kwiatów, rozmarzonych, to znów butnych, bezczelnych prawie — i za tą trawą, nędzną a jednak niezwalczoną, widać krzewy, jeszcze zaś dalej w głębi tworzą jednolitą niemal ścianę jodły, rosnące tak gęsto, iż napróżnobyś usiłował odgraniczyć jedną od drugiej.

Tak po jednej i tak po drugiej stronie ścieżki, która wije się pod górę wyżej i wyżej...

W samym niemal jej środku, tuż przed ulubioną moją ławką, wykłuł się mały świerczek. Wykłuł się z ziarna, które wiatr zapewne tu rzucił. Wygląda jak szkielet lilipuciej parasolki: pośrodku malutki pręcik, a u góry pięć szpilek także malutkich, ułożonych w koło symetrycznie.

Żal mi go. Jakiejże spodziewać się może doli? Jaki cel miała ta ręka, która tu rzuciła ziarno i ta siła, która rozbudziła w niem życie? Drobna roślinka przyszła na świat z wyrokiem śmierci, boć pierwszy lepszy przechodzień musi ją zdeptać.

Codzień, siadając na ławeczce, patrzyłem za małym świerczkiem. Raz zdawało mi się, że już zniknął... Nie, nie! To zasłonił go kamyk rzucony przez kogoś; ten kamyk, który mógł zmiażdżyć maleństwo, ale zatrzymał się tuż przed niem, jak życzliwy sąsiad.

I rzecz dziwna: tyle ludzi przechodziło tędy codzień, kamyk za lada dotknięciem mógł usunąć się na mego faworyta, a jednak stał nieporuszony.

W jesieni, opuszczając ustroń, oznaczyłem miejsce i świerczek — pewny, że go na przyszły rok już nie znajdę.

Stało się inaczej. Pozostał nietknięty. Urósł nawet trochę i dostał kilka nowych szpileczek. Kamyk, który mógł mu cios zadać śmiertelny, stał się dlań wałem ochronnym. Woda spływająca z góry wyżłobiła pod tym wałem rowek i tak powstała warownia dla roślinki, skazanej wedle mego mniemania na zagładę...

Mijały lata...

Drobny rowek u stóp świerczka zmienił się w rów tak duży, iż kierunek ścieżki musiano zmienić, z roślinki zaś urósł tymczasem krzew spory. Gałązki jego pysznią się setkami zielonych szpilek i okapują od żywicy. Teraz już nikt mego świerczka nie zdepcze...

Jestże to ślepy przypadek, że z tylu niebezpieczeństw wyszedł nietknięty, czy też rozumna jakaś siła otoczyła go swą opieką? A jeśli tak, to dla jakich celów obrała jego właśnie za przedmiot troski, podczas gdy milionom innych dała zginąć marnie w zawiązku?

III. Ambicya choroby.

Twarzyczkę ma bladą aż do przezroczystości; usta jej uśmiechają się ciągle, ale tym nie szczerym uśmiechem, który za swą maską kryje żal, czy obawę.

Jej czoło jest, jak karta księgi, pełnej smutnych myśli. Jak spłoszone gołębie wylatują z pod brwi spojrzenia jej oczu.

Dziwne oczy! Takie duże, takie mądre, takie błyszczące, a jednak takie lękliwe! Zazwyczaj nie mówią, jeno pytają. O co?

Ubrana jest zawsze starannie, trochę nawet pretensyonalnie. W pasie dwiema dłońmi objąć by ją można. Bufiasta, koronkami zdobna mantylka czyni, że barki wydają się szerokie; barki i biodra, silnie odcięte sznurówką od górnej części tułowia.

Chodzi krokiem elastycznym, z gracyą, która nie jest niczem innem, jak umiejętnie użytą łatwością i lekkością poruszeń. Często jednak przystaje, jakby dla zaczerpnięcia powietrza; wówczas kaszel nią wstrząsa, którego mimo przytulonej do ust chustki nie może stłumić.

U źródła pije przepisaną wodę chciwie, w ilości wprost imponującej. Wątpię, doprawdy, czy którykolwiek lekarz zaleca taką ilość najsilniejszym nawet pacyentom, a cóż dopiero takiej wątłej dziewczynie. Ale ona powiada, że czyni to nie dla kuracji; ona przecie — zdrowa. Ona tę wodę tak lubi, że pijałaby ją konewkami, choć inni za każdym łykiem krzywią się niemiłosiernie.

Widzieć ją można o każdej porze na przechadzkach. Na próżno przekłada jej matka, że ruch w miarę tylko dobry.

— Im więcej, odpowiada blada panienka, tem lepiej. Ja tak lubię przechadzki. Czyż zresztą nie mam dość sił po temu?

Wszędzie jej pełno; każdy zaś, kogo spotka, czuje na sobie pytające jej spojrzenia. O co ona pyta?

Ze znajomymi rozmawia żywo i głośno.

— Pani znacznie lepiej teraz wygląda, ośmieliłem się raz zauważyć.

Nigdy nie zapomnę blasku, jaki nagle rozpłomienił jej pytające zwykle oczy. Był to błysk gniewu.

— Czuję się doskonale, odparła gorączkowo. A zresztą... ja nie byłam wcale chora. Przyjechałam tu jedynie dla wytchnięcia świeżem powietrzem i dla rozrywki.

Raz na przechadzce omdlała. Musiano ją przenieść do domu w lektyce. Zmęczenie nadmierne wywołało wybuch krwi.

W dwa dni później mimo błagań matki i zakazu lekarza wstała z łóżka.

— Śmieszny wybuch, — mówiła znajomym. Zraniłam nieostrożnie dziąsła, a lekarz rozpuścił bajkę o krwotoku płucnym. I jak tu wierzyć lekarzom?

Nie odbywała jednak już odtąd męczących wycieczek. W ogóle mniej ją widywano. Twierdziła, że sprzykrzyło jej się to ciągłe chodzenie.

Siadywała na słońcem oblanych ławkach, z książką w ręku, której nie czytała. Z ust jej nie szkodził uśmiech naśladujący zadowolenie, a oczy pytały niespokojnie każdego przechodnia, lecz, o co?

Lekarz zdrojowy szepnął mi raz, że ta biedna dziewczyna dogorywa na suchoty. Dnie jej policzone. Z płuc pozostały ledwie drobne strzępy.

Zkądże jednak ta siła, ta werwa, to chełpienie się zdrowiem?

— Chorobliwa ambicya, wyjaśniał mi eskulap. Każdy tem radby się pysznić, czego nie posiada. Ona wstydzi się swej bezsilności, swego dogorywania. Czyś nie widział jej pytających oczu? Ta nieszczęśliwa istota w ostatniej jeszcze chwili badać będzie spojrzeniem, czy udało jej się ukryć swe męczarnie?

St. Rossowski.

KAIN.

POEMAT.

Leconte de Lisle'a.

(Tłum. z franc. A. Lange).

(Ciąg dalszy).

Lice było pokryte brodą osiwiałą,
Lecz pod gęstemi brwiami błyszczało mu oko!
Jedną marą zajęte, otwarte szeroko
I w horyzont od wieków w wiek na wstecz patrzało,
Stając duchem przed świata młodzieńczą epoką.

Togozma widział wówczas, jak syny Enocha
Zbiegły się niezliczone jak mrowie w wzburzeniu,
Na wieżę i na mury w jednem oka mgnieniu,
Aby spojrzeć na dziada, który powstał z procha
I stał w grobie i marzył w głębokiem milczeniu.

I bestje wciąż ryczały w nienawiści dzikiej,
A rumak z nozdrzy krwawym buchając płomieniem
Łamał palmy, jak słabe trzciny nad strumieniem
A wielki rycerz strażnik gehenny, swe krzyki
Grobowe łączył z bestyj stugwarnem ryczeniem.

Ale potężny człowiek nad swej trumny złomem
Wyciągnął sękowate ramię w noc — i oto
Uszy bestyj ryczących napełnił głuchotą
I mówił głosem wolnym, wielkim niby gromem,
Który wichry z ech w echa w dzikie puszcze miotą.

„Któż mnie budzi w tym mroku bez wyjścia, gdziem długo,
Gdziem tysiąc lat spoczywał nieruchomy, zimny?
Czy to młodzian z Hebronu, który śpiewał hymny
Powtarza pierwszy okrzyk śmierci pod maczugą?
Czy powalony ołtarz zahuczał tu dymny?

O zamilknij ty jęku, co mkniesz w szczyty skalne
Ty mogiły mej dawnej, gdziem spał rozciagnięty
Żywemu dość mi w uszach wrzały te lamenty
Zamilknij, co się stało, to nieodwołalne,
Czuwałem. Zasłużyłem na ten sen przeklęty.

Lecz nie, to nie jest okrzyk boleści wieczystej!
Blade dziecię niewiasty, bracie nieszczęśliwy
Ofiaro! Tyś znał zamiar potęgi złośliwej!
Jahweh to mnie oślepił przez swój grom ognisty
Jedynym twym zabójcą jest ten Bóg zdradliwy.

Milcz, rycerzu Gehenny! Wycia zaniechajcie,
Bestye, których za sobą on prowadzi mrowie
Milczcie! Chwila nadeszła. Niech i ja przemówię.
Byście wiedzieli, czem wy jesteście. Słuchajcie,
Co mówi mściciel Kain groźnemu Jehowie.

Milczcie! Oto na nowo widzę świat niewinny
I w harmonijnych wiatrach jeszcze pieśń tę słyszę,
Którą się w chwale niebios gęsty las kołysze
Siła i piękno ziemi płodnej, dobroczynnej
Wzniosłą marą mych oczu zamieszkały ciszę.

Ta noc, gdy się gołębie w uścisków słodyczy
Pogrążyły śród gajów promieńmi omglonych
W których łagodne wycie brzmi lwów oswojonych
Ziemski raj, co się śmieje od mogił dziewiczy,
Do aniołów pod palm warkoczami uśpionych.

(D. c. n.)

WOLNE MYŚLI

(FEJLETON).

(Dokończenie).

VIII.

— Tak jest — ciągnął dalej Bronek. Trzeba ci wiedzieć, że mając lat czternaście napisałem małą powiastkę do wychodzącej już wówczas „Zorzy“. Grajnert ją wydrukował... Pojmujesz moją radość... Napisałem zaraz parę wierszydeł do „Opiekuna Domowego“ i do „Świątecznego“ — połowa spoczęła w koszu, połowa ujrzała światło dzienne... Tak, tak... stary już ze mnie literat, — jubilat, mój kochany...

Przerwał na chwilę, znać, że walczył ze samym sobą. Wreszcie złapał mnie gorączkowo za rękę i kończył prędko, nerwowo, jakby chciał pozbyć się swych myśli:

— Ty masz tu stosunki, znajomości... jeżeli zechcesz możesz mi dużo zrobić. Wychodź, wygadaj mój jubileusz... Ja wiem, że żądanie moje śmieszne, głupie, niedorzeczne... Ja nie zasłużyłem sobie, nie mogłem zasłużyć... Ale nie śmiej się! To moje od roku marzenie, ostatnie życzenie człowieka nad grobem. Ja się nie łudzę... moja choroba piersiowa rozwinięta, strasznie rozwinięta... Może parę miesięcy i już! Mnie nie idzie o siebie, o zdawkowe frazesy, o zadowolenie dumy własnej. Broń Boże! Nigdy nie żyłem blagą — czuję wstręt do niej. Ale ja widzę swój koniec lada chwila... Mam dzieci, — nic im nie zostawiam... nic, nic... Niech chociaż wiedzą, że ojciec ich uczciwie pracował, że był czemś na świecie, że go szanowano... Każdy jubileusz rozchodzi się szerokiem echem, ludzie dowiedzą się o mnie... może i to się dzieciom przyda na co... może jakiś wydawca zbierze część tego com napisał, zabawi się

w filantropa i wyda na dochód rodziny... kapnie choć kilka groszy, pozostanie jakiś ślad, żem istniał... Wszak dobre imię także coś znaczy... może się to dziecinom moim choć nieco przyczyni do wyjścia na ludzi... Przysięgam ci, że nie idzie mi o mnie, ale ja byłem zawsze idealistą... zawsze miałem nadzieję, może się znów łudzę, że ten jubileusz na coś się przyda, lecz... dzieci moje kocham szalenie... bądź zdrów.

I nie czekając odpowiedzi, Bronek uścisnął mię raz jeszcze i prędkim krokiem, jakby goniony, skręcił w boczną ulicę.

Walczyłem sam ze sobą. Jubileusz dla Bronka, to śmieszność, — ale on tak mnie prosił, tak mi zaufał.

Nazajutrz ledwiem się przebudził otrzymałem paczkę, a w niej kilkanaście numerów jednego z dzienników i niewielką książeczkę. W fejletonie dziennika znalazłem powieść Bronka p. t.: „Moja wiara“, a na książeczce widniał napis: „Strzaskana lira“.

Wstyd mi się przyznać, ale obu tych utworów Bronka nie znałem. Wziąłem się do ich czytania i postać autora dziwnie wzrastała w moich oczach. Było tam nietylko wiele serca i uczucia, ale i sporo kunsztu pisarskiego. Przedewszystkiem zaś było widać człowieka głębszego, pełnego zacnych dążności.

I przypomniałem sobie, ile to u nas talentów zmarniało, ile pereł przepadło na łamach dzienników i czasopism, ilu piszących los pokrzywdził kryjąc ich w cieniu kosztem zręcznych karjerowiczów literackich. Bronek był bezwątpienia jednym z tych zapomnianych, zagrzebanych...

Wahanie moje skończyło się. Już nietylko dla przyjaciela, nietylko dla ofiary ludzi i stosunków, ale dla człowieka co miał w sobie iskrę Bożą, postanowiłem „zrobić jubileusz“. Przez cały tydzień latałem po redakcyach, literatach i „urządzaczach“ jubileuszów przekonywając wszystkich, że o 25cio letniej pracy Bronka zapomnieć nie należy. Spotykałem się często z oporem, ze sarkazmem, ale to mnie nie zrażało, owszem podniecało i kazało dokonać swego. Żaden panegirysta nie wytoczył dział pochlebstw tak wielkiego kalibru, z jakich ja na rzecz Bronka strzelałem. O mało nie zrobiłem go geniuszem, tak byłem zacietrzewiony.

I dokonałem swego. Jubileusz został naznaczony za dwa miesiące. „Tygodnik“ miał podać portret i życiorys jubilata, a „wielbiciele talentu“ mieli mu złożyć złoty zegarek.

Przeprowadziwszy swoje, wyjechałem z Warszawy, mając do niej zawitać na dzień jubileuszu Bronka.

Stawiłem się na trzy dni przed terminem. Zajechawszy do hotelu, wprost z niego udałem się do Bronka.

Kiedy wszedłem do skromniutkiego mieszkania, uderzył mię zapach lekarstw, a zapłakana Bronkowa ścisnęła mą rękę milcząco, wskazując na drzwi drugiego pokoju.

Na fotelu siedział Bronek, zmieniony do niepoznania. Z trudnością otworzył oczy, spojrzał na mnie z łagodnym uśmiechem i zaczął mówić przerywanym głosem o potrzebie odroczenia jubileuszu. Siedziałem przy nim chwilę, nie mogąc łez powstrzymać na widok gasnącego życia zacnego człowieka.

W trzy dni później, w sam dzień jubileuszu, doniosły „Kuryery“, że „Bronisław Wolski, literat, opatrzony ŚŚ. Sakramentami, po długich a ciężkich cierpieniach zakończył żywot doczesny w 39 roku życia“.

Od tej chwili postanowiłem sobie nigdy nie żartować z jubileuszów literackich, a ile razy brała mnie do tego ochota, przypominał mi się Bronek. Kto wie, myślałem, czy ten „nowy jubilat“ nie przeszedł tylu co tamten zawodów, kto wie czy jego iskry Bożej nie zasypał popiół ciężkiej pracy na kawałek chleba dla żony i dzieci.

Bo wreszcie, prawdę powiedziawszy, czemże są te literackie jubileusze, jeżeli nie nadzwyczaj drobną nagrodą za długoletnią działalność. Urzędnik kroczy coraz wyżej po stopniach hierarchii, przemysłowiec zdobywa sobie coraz większą niezależność materyalną — obaj bez jubileuszów nagrodzeni są za swoją pracę. Aktor, muzyk, śpiewak, codziennie zbierają oklaski, a każdy z nich może zebrać dziesiątki tomów ze samych krytyk i reklam również prawie codziennie drukowanych. Literat zaś i dziennikarz rzadkim wypadkiem łapie za kark „Fortunę“, a na wieniec musi czekać... aż do jubileuszu.

Mówią, że tylko po aktorach i śpiewakach nic nie pozostaje. Farsa! istne żarty! Wyliczyłbym z połowy bieżącego wieku kilkadziesiąt nazwisk ludzi wielkiego talentu na polu literackiem, których nigdy nie czytało nowe pokolenie, a może ich nie zna nawet z nazwiska. Zginęli, przepadli — i tylko czasem jakiś krytyk którego z nich odgrzebie, aż sam razem z nim zagrzebany nie będzie.

Zdrowie więc twoje, najbliższy jubilacie!

K. Bartoszewicz.

SHELLEY *).

(SZKIC).

I.

Persy Bysshe Shelley, największy liryk angielski i jeden z największych liryków w ogóle, u nas, niestety, tak mało dotychczas znany, urodził się w dniu 4 sierpnia r. 1792 w Fieldplace, w hrabstwie Sussex.

Ojciec jego, baronet Timothy Shelley, był, jak to mówią, szlachcicem starej daty: nosił wzorową perukę, niepokalane jaboty, zapinał się do ostatniego guzika, doglądał pilnie olbrzymiego majątku, uczęszczał regularnie do kościoła, czcił pastorów, jak tylko czcić można, wiedział, co jest przyzwoitem, a co jest shocking, jednem słowem: nigdy i w niczem nie obrażał purytańskiego cantu, co więcej, cant ten podnosił do szczytu moralnej zasady.

I matka, prócz niezwykłej piękności, ogłady towarzyskiej i łagodnego usposobienia, nie miała w sobie nic takiego, coby ją podnosiło ponad tuzinkową pospolitość.

Można zatem śmiało powiedzieć, że Persy nie odziedziczył po rodzicach żadnego rysu charakteru, natomiast spotykamy w nim dużo cech, właściwych jego dziadowi. Był to człowiek na wskroś oryginalny, energiczny, gwałtowny, awanturniczy. W młodym bardzo wieku opuściwszy Anglię, udał się do Ameryki, gdzie na wyrabianiu mastyk sporego dorobił się majątku. Za powrotem do ojczyzny, bogactwa swoje przez szczęśliwe spekulacye, głównie zaś przez podwójny ożenek, do niebywałych powiększył rozmiarów: pozostawił synowi 300.000 funtów gotówki, to znaczy 3 miliony złotych i dobra, które dawały 20.000 funtów rocznego dochodu.

Obie żony wykradł; serca ich zdobył sobie galanteryą i przyjemną powierzchownością. Opowiadają nawet, że w Ameryce trzecią miał żonę, którą był porzucił i o której los nigdy się nie troszczył. Gwałtowność swoją do tego posuwał stopnia, że w podeszłym już wieku obrzucał własnego syna przy lada sposobności gradem złorzeczeń i przekleństw, używając przytem najgminniejszych wyrażeń.

*) (Szkic ten, poprzedzający wyczerpujące studyum o autorze „Prometeusza“ — które znajdą czytelnicy w późniejszych zeszytach „Myśli“ — umieszczamy w celu zapoznania szerszej publiczności z losami i ogólnym charakterem twórczości wielkiego poety, który tak znaczną odegrał rolę w literaturze wszechświatowej. Przyp. Red.).

Fakta te przytaczam dlatego, ponieważ ilustrują charakter pokrewny wielkiemu poecie.

Wnuk ten popędliwego starca, który przy swej oryginalności miał jeszcze opinię ateusza, pierwsze swe lata przepędził w majątku rodzinnym, w Fieldplace. Bardzo wcześnie zaczęła się w nim rozbudzać chęć poetyzowania; w ósmym roku życia napisał „wiersze do kota“, które w niczem — nie mówiąc o muzykalnym rytmie — nie zaznaczyły jeszcze kierunku Shelleyowskiej fantazyi; przeciwnie, zdradzając nadzwyczajną znajomość stosunków realnych, zdawały się zapowiadać wprost odmienną drogę, aniżeli ta, którą poszedł później największy z idealistów. Równocześnie jęły się w nim objawiać te rysy, które go już nigdy nie opuściły, które głębokie, charakterystyczne wywarły piętno, zarówno na poecie, jak i na człowieku, mianowicie pociąg do marzycielstwa, niezwykła wrażliwość i nerwowość. Zarówno w szkole w Eton jak i później na wszechnicy oksfordzkiej, dostarczyło mu życie dosyć materyału, ażeby znamienne cechy te rosły, potęgowały się, ażeby go zrobiły tem, czem był: idealistycznym filozofem, zapalonym głosicielem religii miłości, namiętnym reformatorem społecznym, nieubłaganym biczem Bożym na wszelki ucisk i na wszelką obłudę.

W szkole uczniem wzorowym nie był; nie należał do tego rodzaju dzieci, które wcześniej, niż potrzeba, objawiają szczęśliwe, opłacające się zamiłowanie porządku, szacunek dla przełożonych, choćby ich reprezentowała śmieszna figura wygolonego profesora, w długim nieco surducie i wykrzywionych butach. Podczas lekcyi wyglądał zwykle przez okno, gonił przesuwające po niebie obłoki, przypatrywał się łamaniu blasków słonecznych lub rysował po książkach fantastyczne kontury drzew.

W domu całe godziny trawił na lekturze; czytywał zaś przedewszystkiem książki o treści tajemniczej, pełne niezwykłych wydarzeń. Że podobna lektura nie mogła dobrze wpływać na ustrój nerwowy wrażliwego dziecka, że osłabiała jeszcze bardziej słabą z natury konstytucyę, rzecz to prosta, dodawała atoli skrzydeł bujnej wyobraźni, unosząc ją w sfery nieznanego, nieskończonego. Podrósłszy, upodobał sobie w chemii — nęciła go nauka ta znowu tajemniczością; posiadłszy chemię, zdawało mu się, że zdobędzie klucz, otwierający mu bramę do ciemnego, niezbadanego gmachu przyrody, którą jak sam powiada, umiłował nad wszystko. W jednym z późniejszych poematów w „Alastorze“, czyni aluzyę do owych studyów, mówiąc, że był rówien alchymiście, który za niepewną, tajemniczą nadzieję zbadania istoty wszechrzeczy, gotów odprzedać swój żywot. „Przyrodo! ty matko podniosła niezgłębionych światów — ciebiem ukochał, ciebie jedynie, powiada we wstępie do Alastora; wszak zawsze pragnąłem, aby odnaleść tajniki twej drogi i zawszem zatapiał żrenice serca w g ł ę b i n i e t w o i c h z a g a d e k.“ „Jam szukał w trumnach i sklepach grobowych posłania, tam, gdzie trofeje swych zwycięstw, wydartych tobie, o matko! śmierć w długim przywykła składać szeregu, i byłem przepełnion ową nadzieją, że pytań gorących, czemże ty jesteś i czem twoje dzieci, powstrzymam potok, zmusiwszy upiora, by jako prorok przez ciebie mi wysłany, objawił, kto i czem my jesteśmy“... Ta chęć zbadania zagadki bytu na drodze tajemniczej cudowności miała swoje pendant w halucynacyach, które już od dzieciństwa go prześladowały. I tak opowiada jedna z jego sióstr, że pewnego razu przebił sufit w domu, ponieważ sądził, że ujrzy nieznany jakiś świat — zawiódł się w oczekiwaniach a za ten objaw marzycielskiego usposobienia otrzymał tylko plagi od ojca. Wierzył najmocniej i to do późnego stosunkowo wieku, że w stawie w Fieldplace żył trzechsetletni wąż, którego przez nieostrożność zabił ogrodowy. Halucynacyjne krajobrazy przybierały u niego kształty konkretne, wydarzenia, urodzone z fantazyi, przyoblekał on nieraz w jak najlepszej wierze w suknie rzeczywistości. Złudzeniu też prawdopodobnie należy przypisać kilka późniejszych szczegółów, które sam Shelley podawał za prawdę, a które dotychczas nie zostały wyjaśnione n. p. wrzekomy zamach na jego życie i tajemnicza postać kobiety, która go miłością swoją prześladować miała we Włoszech, tak, że poeta dla niej, przybranej zawsze w suknie żałobne, uciekał z jednego miasta do drugiego.

W szkole zetknął się Shelley po raz pierwszy z rzeczywistością ze wszech miar ohydną. Koledzy jego, przeważnie dzieci kupców, nieokrzesani i surowi, odnosili się wrogo do zadumanego wiecznie młodzieńca. Był to naturalny wstręt, który instynktowo okazują organizmy niższe do istot doskonalszych. Dlatego, że przeczuwano jego wyższość, chciano go gwałtem zmusić, ażeby im usługiwał. Ponieważ zaś Shelley, mimo marzycielskiego usposobienia, posiadał upór niezgięty, więc chciano go złamać — wymierzaniem mu plag. Była to straszliwa nauka, jaką idealnemu, nad wiek swój rozwiniętemu chłopcu dało na samym wstępie życie. Postępowanie kolegów stało się w nim pierwszym zawiązkiem nienawiści, z jaką ścigał aż do końca życia wszelkiego gatunku tyranię, stało się dlań, jak powiada w jednym ze swych poematów (Revolt of Islam) bodźcem do tego, ażeby „starać się być innym, niż ludzie nikczemni, ażeby być sprawiedliwym i mądrym, a przytem dzikim i swobodnym“; jeżeli, powiada, mam tę siłę, to nigdy od dążenia tego nie odstąpię, albowiem patrzyć nie mogę, jak ohydnie uciskają przemoc i samolubstwo.“ Wtedy to zdawało mu się, że jest potęgą, która zbawi świat, mianowicie „duch piękna i miłości“; wtedy to po raz pierwszy zaczął innej dobierać miary w sądzeniu społeczeństwa, a innej w sądzeniu człowieka: wtedy to zaczęło pewniej dalsze przybierać kształty mniemanie, że człowiek z natury jest dobry, że stał się złym dopiero, jako cząstka społeczna. Że człowiek wyszedł dobry i doskonały z rąk natury, sądził po tej szlachetności, która mieszkała w jego sercu; że społeczeństwo zaś jest złe jako takie, przekonanie to gruntował na krzywdach, jakich sam zewsząd doznawał.

Ludzie, z którymi się stykał, nie znajdowali się pod czarodziejskiem panowaniem tego ducha piękna i natury, który się naraz zjawił przed nim, „gdy pewnej chwili wiosennej, gdy wszystko, co żyje, życie swoje objawiało pieśnią i rozkwitem, dumał nad przeznaczeniem tego życia“. Ten duch potężny, duch twórczy, duch, rozwidniający mu cel bytu, ten duch, bez którego wszystko „niebo i demoni“, jak powiada, są tylko świadectwem płonnych dążeń naszych, uciekł ze serca ludzi, śród których zmuszony był żyć poeta takiej miary, jak Shelley. Na jego miejscu zapanowała w całej swej brzydocie rażąca niesprawiedliwość i obłuda. W oczach Shelleya niesprawiedliwym był ten władzca, który, jak powiada w „Królowej wróżek“, mieszka w pałacu, „wznoszącym wież swoich tysiące ponad miastem ludnem“, władzca, który otoczony szeregiem straży, w złocistym przechadza się łańcuchu, głuchy na klątwy sierot, pozbawianych ojców, głuchy na płacze tych, którym wydarto przyjaciół“. Niesprawiedliwym był ten władzca, ten niewolnik najpospolitszych namiętności, wlokący na ucztę wielką i wspaniałą żądzę tępego przesytu, uśmiechający się na pochlebstwa nikczemnych sług, którzy spędzają mu wstydu płomienie z twarzy, nabrzmiałej nadużywaniem“.

Niesprawiedliwym był w oczach Shelleya ten ojciec, rozciągający nad dziećmi swemi nieograniczoną władzę z tej racyi, że los mu kazał być ojcem „katujący tych, których bronić i kochać powinien“, ojciec, „którego gniewu nie ułagodzić ani łzami ani cierpliwością“. „Bóg! piekło i niebo woła on w wspomnianej już przed chwilą „K r ó l o w e j wróżek!“ „Z Boga zrobiono bezlitośnego, mściwego, wszechmocnego demona, a jego łaskawość stała się szyderczym wyrazem dla zajadłości krwi spragnionych tygrysów“. „Piekło to otchłań czerwona, wieczystym ziejąca ogniem, gdzie ja-

dowite żmije nieskończone gotują katusze dla biednych niewolników, których samo już życie było straszliwą karą za grzechy". „Niebo to nagroda onego zbrodniarza, co zbezczeszcza swą ludzką naturę" — jak powiedziano wyżej człowiek w pojęciu Shelleya był dobrym z natury — „co wierzy a drży, co w prochu się tarza przed marnym szychem ziemskiej potęgi!" Obłudnie szumią wyrazy „Ojczyzna, sprawiedliwość, kiedy w ich imię z chat wyrywano ludzi spokojnych, każąc im przy dźwięku trąb, przy huku kotłów maszerować na bój i strzelać". Na podobne przekonania poety, złożyły się: wrodzona szlachetność, zapoznanie się z idejami wielkiej rewolucyi, mianowicie zaś z pismami Rousseau'a — jakkolwiek istotę zasad francuskiego reformatora znał przeważnie z drugiej ręki, — reakcya, jaka zapanowała w Europie po upadku rewolucyi, wreszcie krzywdy, których sam doznał. Ostatnie stały do pojęć powyższych w stosunku odwrotnym; do pojęć tych doszedł i z tej przyczyny, ponieważ go krzywdzono, krzywdzono go zaś dlatego, ponieważ takie a nie inne posiadał pojęcia, dając im w życiu wyraz nazbyt otwarty.

Jan Kasprowicz.

MUZYCY i SZKOŁY MUZYCZNE.

II.

Lwów.

Pierwszy rzut oka na całą pracę nauczycielską poucza nas, iż mamy do czynienia po większej części z systemem Mikulego. Przez niego zalecany układ ręki, jego palcowanie, jego ćwiczenia i repertuar utworów, w wykonaniu jego sposób traktowania dynamicznej i deklamacyjnej strony gry. Oczywiście, spotyka się tu rozmaite odcienia tego systemu, stosownie do indywidualności nauczycieli — w każdym razie tło jest jedno, czy trzymają się go zbliska, czy więcej oddalają. Szkoła Marka najmniej ma wspólnych punktów z systemem Mikulego.

Nie potrzeba oczywiście dowodzić, że w ciągu lat trzydziestu poglądy, upodobania i sądy publiczności kształtowały się wedle myśli z jednego wychodzącej punktu, dopiero w czasach ostatnich wpływ opery i towarzystw śpiewackich z jednej, a przejezdnych wirtuozów i nowych gwiazd artystycznych z drugiej strony, na punkcie smaku pewne poczynił zmiany.

Pozostaje jedna jeszcze kwestya, stawiana zwykle, gdy mowa o pracy wybitnego nauczyciela: gdzież są uczniowie Mikulego sławni, głośnego używający imienia, wielkie zajmujący stanowiska? Pytanie to jednak dla nas nie posiada większej wagi. Zapewne, że Mikuli nie wykształcił żadnego wirtuoza, któryby świat zadziwiał, a sam majątek na swej karyerze zrobił. Zasługą jednak nauczyciela największą — zdaniem naszem — jest wnosić wyższe pojęcia w cały ogół, oddający się sztuce, kształcić muzykę dla domu, a nie koniecznie dla estrady koncertowej, zwłaszcza zagranicznej. Każdy młody człowiek, kształcący się na wirtuoza, musi koniecznie w świat wyruszyć i o stempel pierwszych potęg się postarać, czy więc honor przysporzenia światu jednego więcej koncertanta przypadnie Rubinsteinowi, Leszetyckiemu lub jakiemu innemu, czy przypadnie nauczycielowi, ukrytemu w prowincyonalnem mieście i wydobędzie imię jego na jaw, to już rzecz osobista — zasługi tego nauczyciela wobec społeczeństwa nie powiększą się tem zbytecznie. Podanie zaś zaś zarobku kilkudziesięciu nauczycielom tutejszym, w oczach naszych większą jest zasługą, niżeli wprowadzenie kilku wirtuozów na drogę karyery, choćby najwięcej złota przynoszącej.

Zresztą dla estrad koncertowych naszych, osób grających dobrze i ładnie mamy dość. Ubolewamy tylko nad tem, że mężczyzn zbyt mało poświęca się fortepianowi, wskutek czego rzadko słyszymy grę, któraby, oprócz poprawności, sumienności, a nawet znacznej techniki i elegancyi, posiadała jeszcze charakter wybitniejszy i więcej samoistny. Nie jest to jednak winą nauczycieli, że płeć męska mało się do tego garnie.

Szkoła Mikulego, założona tu przed laty pięcioma, po ustąpieniu jego z posady dyrektora Towarzystwa muzycznego, dzieli się na trzy kursy: elementarny, średni i najwyższy, w którym lekcye daje sam kierownik szkoły. Klasy niższe posiadają zdolnych i sumiennych nauczycieli, między którymi pierwsze zajmują miejsce panna Setmajerówna i p. Neuhauser, oboje oczywiście uczniowie Mikulego. Personal nauczycielski składa się ogółem z sześciu osób, teoretyczne przedmioty wykłada sam Mikuli. Istnieje tu kurs harmonii i kontrapunktu, a nadto tak zwany kurs nauczycielski, obznajamiający uczniów teoretycznie z zasadami, na których system szkoły polega.

W niższych klasach, oprócz zwykłego systematycznego kształcenia w grze, nacisk jest położony na rozwijanie muzykalności; technikę rozwijają wyżej w średnich klasach, najwyższe zajmują się studyowaniem szczegółowem utworów, należących do znanego repertuaru, na który składają się przeważnie: Mozart, Bach, Weber, Herz, Field, Moscheles, Mendelsohn — Chopin zaś w wielkiej ilości. Kompozytorowie, jak Beethoven i Schuman, mniej bywają grywani (podobnie jak u Chopina), Liszta utwory tylko z epoki wcześniejszej — nowsze, jak Rubinsteina, Czajkowskiego, Saint-Saënsa lub Brahmsa nie pojawiają się wcale.

Co roku odbywają się popisy, bardzo przez publiczność naszą dobrze przyjmowane, bo istotnie ze wszystkich najlepiej i najstaranniej przygotowywane. Mikuli tej formy zakończenia roku szkolnego nie zniósł, bo nie mógł i nie chciał, z powodów, jakie już poprzednio wyłuszczyliśmy. Przyznajemy jednak, że w formie artystycznej podane, nie są one tak uciążliwe do wysłuchania, jak inne.

Szkoła Mikulego posiada zawsze liczny zastęp uczniów. Na zaufanie to zasługuje ona bezwzględnie, bo mimo, że nie goni za postępem, i duchem konserwatywnym silnie jest owiana, to jednak, dając racyonalne podstawy — najwięcej się przyczynia do rozpowszechnienia gry rzetelnej i w ogóle poważnego kierunku sztuki — a to, zdaniem naszem, pierwszym jest celem szkoły, zwłaszcza na prowincyi, gdzie stosunki nie pozwalają się uczniowi kształcić pod wpływem wzorowych produkcyj artystycznych, w jakie obfitują wielkie miasta.

St. Niewiadomski.

NOWE PASTELE

przez

PAWŁA BOURGET'A.

I. Święty.

(Ciąg dalszy).

I począł snuć przedemną najsławniejsze współczesne imiona literackie. Jeden był, według niego, bezmyślnym anegdociarzem, drugi bazgraczem dla robotników, trzeci zmodernizowanym Paul de Cokiem, inny w końcu salonowym intrygantem, ocukrzającym Balzaca i Stendhala dla sięgpiałych podniebień światowych kobiet. Wszystkim przypinał niskie anegdotki, tysiącami obiegające Paryż w tym dziecinnie okrutnym świecie literackich debiutantów.

Słuchałem go głęboko zasmucony, nie dlatego jednak, abym przywiązywał wielką wagę do surowości nowo przybyłych względem swych starszych braci, do których sam na-

leżę. Surowość ta istniała po wszystkie czasy i wywierała nawet pewien niby wpływ dobroczynny. Jest to niby sarkazm Mefistofelesa, który zmusza Fausta do pracy. Ale odgadywałem pod tą zaciętością, — którą może usiłował mi się podobać, krytykując moich kolegów po piórze — istotne cierpienie, trawiące to biedne dziecko. Odgadywałem wściekłą przedwczesną dumę, która dopiero w naszym wieku objawia się w świecie piszących.

Dawniej również istniały zagorzałe ambicye, lecz nie gnieździły się nigdy u literatów.

Dzisiaj, gdy ogólne zniwelowanie daje, na pozór przynajmniej, znanemu artyście świetną w świecie pozycyę, wielu ludzi uważa literaturę za łatwy środek do zrobienia majątku. Przystępują do zawodu pisarskiego z podobnym zamiarem, co do gry na giełdzie, z tą jednak różnicą, że taki dziki giełdziarz zdaje sobie sprawę ze swej żądzy pieniędzy, dziki zaś literat podaje chętnie swą gorączkę złota za misyę apostolską.

Tacy ludzie, jeśli powodzenie nie przyjdzie im do lat czterdziestu, stają się straszni, a w duszach ich, obok najboleśniejszych, najnikczemniejsze występują namiętności. Widziano już takich wśród pisarzy komuny.

Przysłuchujac się rozmowie młodego człowieka, widziałem w nim przedewszystkiem bunt przeciw swemu ubóstwu; był to jednak buntownik w pewnych dniach i godzinach życia, trzymający się jeszcze w równowadze, częścią przez pewną mieszczańską ostrożność, częścią przez zamiłowanie do wyższej kultury, które go mogło ocalić, a może go nawet ocali. Miał, zdaje się, dość inteligencyi i cierpliwości, aby, mimo swej artystycznej gorączki złota, wydoskonalić się w jakiejś nauce, lub fachu. Ztąd przyszło mi na myśl, że odbyć się w nim musiała, lub odbywa się jeszcze jaka walka wewnętrzna.

— Jesteś pan bardzo surowym dla swoich poprzedników — przerwałem, aby wstrzymać nieco ten potok paryskich potwarzy, których nędzę i fałsz znam tak dobrze i tak dawno.

— Obaczysz pan, jak ja zacznę pisać — odrzekł z fanfaronadą naiwną i niegodziwą zarazem — ho! ho! z poprzednikami postąpi się tak, jak robią ze starcami w Oceanii; wysadzają ich na wysokie drzewo i trzęsą nim co sił. Jeśli mają siłę utrzymać się, bardzo dobrze, jeśli pospadają, zabija się ich i zjada.

Nie podniosłem już nawet tego dzikiego wyskoku; Filip Dubois zmuszał mię do pozowania. W odpowiedzi zagadnąłem go o jego prace archeologiczne, co go widocznie w zły humor wprawiło; następnie poradziłem mu otwarcie, aby za powrotem do Francyi nie wdawał się w dziennikarstwo, lecz starał się na prowincyi o jakie miejsce, na którem by mógł być pożytecznym i ztamtąd rozpoczął swój zawód jakiemś większem dziełem.

Niestety, i mnie dawano podobne rady, gdym był w jego wieku, lecz nie poszedłem za niemi.

Jeden dowód więcej, że owa loterya nędzy i sławy, jaką jest zawód pisarski, nie przestanie nigdy być pokusą dla pewnych ludzi.

Mamże wyznać prawdę? Mnie samemu wydało się ironią, niemal hipokryzyą, odgrywać względem niego rolę moralisty. Doznałem wyrzutów sumienia, a gdy, mimo wszystko, wewnętrzny rozstrój, jaki w nim odgadywałem, budził we mnie litość, zaproponowałem mu w końcu wycieczkę do klasztoru.

Miała ona wywołać ów nagły dramat, do wytłómaczenia którego posłużą te zbyt może długie przygotowania.

Chodziło tylko o odroczenie na dni parę podróży Filipa; zgodził się, wyjechaliśmy więc z uderzeniem pierwszej, według obietnicy ex-Garibaldyjczyka, którego przepyszne wyrażenie muszę tutaj zapisać.

Korzystając z chwili, w której oczekiwaliśmy na furmana, nie omieszkał udzielić mi swoich poglądów na parlament francuski.

— Zatracili już swoje tradycye rewolucyjne — rzekł mi, a wypowiedziawszy całą mówkę terorystyczną, której tu nie przytaczam, zakończył z komiczną melancholią: — zdaje mi się nawet, że zrobili się z nich kapitaliści.

Dzięki temu wyrażeniu, które nas obu ubawiło, wyjechaliśmy *in high spirits,* jakby powiedziała miss Dobson, bardzo dobrze usposobieni do używania przyjemności podróży. Droga z Pizy do Monte Chiaro nasuwa śliczne krajobrazy winnic, przeplatanych morwowemi drzewami. Olbrzymie trzciny chwieją się za podmuchem wiatru, w głębi zaś krajobrazu widzieć się daje góra, o której pisze Dante, że nie pozwala Pizańczykom patrzeć na Lukę.

Cacciando l'lupo e i lupicini al monte
Perche i Pizan, weder Lucca non ponno.

— Tego nam brak we Francyi — rzekłem do mego towarzysza, przytaczając dwuwiersz poety, któryby przypisał legendę chwały najmniejszemu zakątkowi ziemi rodzinnej.

— Tak pan znajduje? — odpowiedział — mnie bo to odgrywanie roli przewodnika zniechęcało zawsze do Boskiej Komedyi.

Widząc po tych słowach, że chwilowa wesołość mego towarzysza już przeminęła, żałowałem, żem go z sobą zabrał. Popadłem więc w milczenie i starałem się pogrążyć w obserwowanie natury, która się coraz dzikszą stawała. Powozik nasz jechał teraz stępo.

Wjechaliśmy w okolicę prawie pozbawioną roślinności. Nagie wzgórza i olbrzymie nabrzmienia gliny, podziurawione deszczem, sterczały naokoło.

Nie było już strumieni, winnic, gajów oliwnych, ani willi. Prawdziwy przedsionek pustyni.

Woźnica zeszedł z kozła; był to mały człowieczek o kwadratowej, przebiegłej twarzy, który klacz swoją mianował imieniem Zary, a jak wszyscy Toskańczycy, zmieniał na *h* twarde *c* początkowe: *Huesta hawalla,* zamiast *questa cavalla* (ta klacz).

— Kupiłem ją w Liwurnie, drogi panie — opowiadał mi — kosztowała mnie 200 franków, bo uchodziła za kulawą; patrz pan, czy kulawa? Hej! Zara, odwagi! Chodzi za mną, drogi panie, jak pies, to też kocham ją tak, że moja żona jest zazdrosna o nią; a ja jej na to: Zara zarabia mi na chleb, a ty go zjadasz! Widzisz, drogi panie, te skały; tam omal nie zamordowano Wawrzyńca Medicis, po rzezi Pazzich.

— Czyż to nie ciekawe? — rzekłem do mego towarzysza — ten człowiek prosty, najemny woźnica, jednym zamachem mówi nam o klaczy swej Zarze i o Wawrzyńcu Medicis; Włosi znają historyę swego kraju i dumni z niej być umieją.

— Wiem, wiem — rzekł Filip, wzruszając ramionami — jest o nich słówko Alfierego: „Roślina ludzka rośnie tu zieleńsza, niż gdzieindziej.“ Prawdą jest, że od dzieciństwa uczą się wyzyskiwać cudzoziemca, tresują ich do polowania na napiwki. Jeszcze to ssie, a już jest cicerone. O! napiszę ja romans o Włoszech nowożytnych! Pokażę, czem jest ten lud! (D. c. n.)

Z DZIEDZINY PEDAGOGII.

(Słówko na czasie).

Każdy uczeń potrzebuje: 1) zajęć umysłowych, odpowiadających jego siłom i zdolnościom, 2) zadawalniającego otoczenia moralnego, w przeciwnym bowiem razie upadnie harmonia zajęć umysłowych, 3) zadawalniającego otoczenia fizycznego; t. zw. przedmioty nauki i ich podział powinny ilościowo i jakościowo odpowiadać siłom i zdolnościom ucznia, a więc być indywidualizowane.

Przy dyskutowaniu zagadnień pedagogicznych nie zadają sobie powołani trudu rozsądzania kwesyi, czy szkoła w zasadach swych odpowiada naturze człowieka. Życie człowieka składa się z nieskończonego szeregu ruchu i spokoju, pracy i odpoczynku; ogniwa tego szeregu nie trzymają się nigdy identyczne, występując najjaskrawiej i najnieprawidłowiej przy pracy umysłowej. Dlatego też nie można instynktu wrodzonego pracy zmienić na działalność automatyczną, sztucznie na porcye odmierzoną; natura nie ustanowiła równomiernej pracy i równomiernego odpoczynku w ciągu tylu a tylu godzin, tylu dni lub miesięcy. Prawda, że szkoła mając do czynienia z masą, musi postępować inaczej. W każdym razie nie powinna ona nadużywać konieczności złego; powinna sprawę wychowania postawić w warunkach najbliższych do naturalnych, a więc bardzo oględnie stosować się do natężenia mózgu i systematu nerwowego — ciągle radząc się anatomii, fizyologii i hygieny.

Nienormalne poglądy społeczeństwa, tolerujące egoizm i ciemnotę, poglądy społeczeństwa na znaczenie pewnych nauk i sztuk, stosunków rodzinnych i politycznych — niezgodne z poglądami szkoły na też same kwestye — rodzą walkę pomiędzy szkołą i społeczeństwem, walkę, odbijającą się na moralnym stanie ucznia, wstrząsając jego równowagę psychiczną, pognębiając jego systemat nerwowy i sprzyjając do pewnego stopnia zmęczeniu mózgowemu. Konieczność uczenia się przedmiotów, które nadwyrężają pamięć, sprzyja powstawaniu zmęczenia mózgowego.

W powyższych przyczynach udział szkoły jest mały; istnieją jednak i takie, do których szkoła bezpośrednio się przyczynia.

Praca umysłowa, dokonywana w szkole, dzięki nieznajomości antropobiologii, odbywa się nie kosztem pokarmów i napojów, lecz kosztem żywych tkanek i narządów ucznia. Taka praca zmniejsza energią fizyczną i umysłową i zniża dzielność nerwową. Podczas świąt i wakacyj uczeń odbija sobie straty, ale rzadko zbiera coś na zapas; najczęściej ledwie że powraca do normy. Praca umysłowa, jak i wszelka inna, dzięki inercyi, łatwo przekracza granice swych sił. Bierność administracyi szkolnej najjaskrawiej uwidocznia się w epoce dojrzewania płciowego i przebywania wzrostu. W tej porze często spotykamy nastrój pognębiony, wzmożone rozdrażnienie, które odbija się jako osłabienie uwagi, pilności, złe postępy w naukach. Ale czy kto chce słyszeć, by na tej zasadzie czynić jakiekolwiek ustępstwa! Pedagog nie może nawet w większości wypadków prawidłowego stosunku względem ucznia zająć; jest to zwykle człowiek sam nienormalny, niezadowolony i rozczarowany. Przyczyna ta zrozumiała: roboty ma dużo. Wymagają jej odeń bez pardonu. Uczniów w klasie masa. Utrzymanie skąpe. Zdrowie zniszczone. W tych warunkach nauczyciel stać się musi maszyną.

Otoczenie moralne ucznia i wpływ tego na prawidłowy bieg zajęć umysłowych są ujemne. Warunki moralne są tak złe, jak i fizyczne. Równocześnie upada wola. Brak stanowczości i śmiałości w sądach i postępkach, oryginalności poglądów i czynów — charakteryzują gimnazyalistę w rodzinie i towarzystwie.

Główny błąd pedagogów polega na tem, że zdają się nie widzieć związku życia ze szkołą. Szkoła nie przygotowuje do życia. Istnieje dla siebie samej. Człowiek w epoce szkolnej jest niesłychanie zdolny do znoszenia rozmaitych dolegliwości; nie zwraca uwagi na bóle głowy, czasowe stępienie i oszołomienie, utratę apetytu, snu. Stan taki trwa czasami miesiące i lata. Im wyższe klasy, tem częściej spotykamy się z rozmaitemi oznakami zmęczenia umysłowego. Występują one w postaci wszystkich chorób nerwowych, od form lekkich — do najcięższych.

MISCELANEA.

*** Sto pięćdziesiąta rocznica urodzin Franciszka Karpińskiego, autora głośnych pieśni: „Kiedy ranne wstają zorze“, „Justyny“ itd. przypada w dniu 4 października b. r. Ś. p. Karpiński urodził się w roku 1741 w Hołoskowie pod Stanisławowem. Skończył filozofję u OO. Jezuitów w Stanisławowie, następnie zaś otrzymał we Lwowie stopień doktora nauk wyzwolonych. Zmarł w r. 1825 w Chorowszczyźnie.

*** W Sukiennicach otwartą została wystawa 150 utworów zmarłego artysty-malarza: St. hr. Szembeka. Tamże znajduje się słaby zarówno pod względem treści, jak i formy obraz Simoniego: „Aleksander w Persepolis“.

*** Komitet pomnika Mickiewicza aprobował wykonaną przez artystę prof. Rygiera trzecią figurę alegoryczną „Patryotyzm“, jak niemniej z przybraniem p. Tadeusza Stryjeńskiego, architekta, jako konsulenta technicznego budowy pomnika, zatwierdził wykonane przez architektę p. Władysława Ekielskiego plany sytuacyjne pomnika, które magistratowi miasta Krakowa do zatwierdzenia pozedłożone zostały. Prof. Rygier wyjechał do Rzymu celem odlania w brązie figury Mickiewicza i trzech figur alegorycznych. Budowa fundamentów pomnika niebawem się rozpocznie.

*** Lilla Weneda Juljusza Słowackiego, przełożona na język francuski przez Juljusza Miena, ukazała się obecnie w tłómaczeniu niemieckiem, dokonanem przez p. H. Monata, jako 519 tom wydawanej w Halli „Bibliothek der Gesammt-Litteratur des In- und Auslandes. Tomik ozdobiony jest portretem twórcy „Beniowskiego“, a sam przekład poprzedza tłómaczenie listu do autora „Irydjona“. O przekładzie p. Monata wyraża się prof. A. Małecki, znakomity znawca Słowackiego, nader pochlebnie.

*** Edward Jelinek, znany pisarz czeski i przyjaciel Polaków, wydał w tych dniach zbiór nowel, osnutych na tematach słowiańskich, p. t. „Jasem i stinem“. Książeczka, ozdobnie wydana, wyszła z oficyny księgarskiej Fr. Simaczka w Pradze. Dwa pierwsze szkice, zatytułowane „Stary salasnik“ i „Kozacka miłostnice“, osnute są wyłącznie na rzeczach polskich.

Powyższy zbiór poświęcił autor znakomitej naszej powieściopisarce pani Elizie Orzeszkowej, z powodu przypadającego w tym roku jubileuszu 25-letniej działalności pisarskiej znakomitej autorki naszej. Dedykacya, zamieszczona na egzemplarzu, brzmi: „*Slovoutna pani Eliza Orzeszkowa raciž prijati venovani toto u priležitosti jubilea sveho, jako projev nejhlubsi ucty z Czech. E. J.*“

*** Nakładem ruchliwej księgarni warszawskiej T. Paprockiego wyszły następujące nowości: Ostoji „Prawdziwe powieści“ i odczyt dra E. Meynerta pt.: „Głupota mody“, w którym autor zastanawia się nad szkodliwemi skutkami używania gorsetów przez kobiety.

*** Gabryela Zapolska kończy nową powieść pt.: „Żebraczka miłości“.

*** Adam Krechowiecki, autor „Szarego wilka“ napisał nową powieść pt.: „Najmłodsi“, której druk rozpocząć ma „Wiek“.

*** Sewera większą nowelę pt.: „Zalotnica“ (obrazek malowany w słońcu) wydrukował „Kuryer Warsz.“

*** Teatr polski we Lwowie (1881—1890), monografia Stanisława Pepłowskiego, zawierająca rys dziejów sceny lwowskiej w ciągu ostatniego dziesięciolecia, znajduje się już pod prasą i niebawem znajdzie się w handlu księgarskim. Do pracy tej dołączony zostanie skorowidz, zawierający spis tytułów sztuk, nazwisk artystów, oraz ważniejszych zdarzeń w teatrze lwowskim od r. 1780.

*** „Bez dogmatu“ H. Sienkiewicza drukuje obecnie w przekładzie niemieckim czasopismo: „Aus fremden Zungen“, wychodzące w Stuttgardzie.

*** „Maufreda“ Byrona, w tłómaczeniu Gabrjela Kempnera, wystawi wkrótce teatr warszawski. Rolę tytułową objął p. Józef Kotarbiński.

*** Otwarcie teatru wielkiego (odrestaurowanego) w Warszawie odbyło się uroczyście 11 b. m. Okolicznościowy prolog napisał M. Gawalewicz.

*** W teatrzykach ogródkowych warszawskich wystawiono z powodzeniem sztukę A. Dygasińskiego: „Narzeczona z Ojcowa“ oraz dramat Stefanji Ulanowskiej i A. Szczepańskiego (nagrodzony na konkursie im. Żółkowskiego) pt.: „Górale“ (Na ojcowiźnie). Utworowi temu zarzuca krytyka brak sceniczności.

*** Henryk Becque, autor „Kruków“, zamieścił w „Figarze“ ciekawe studjum o Hamlecie.

*** Alfons Daudet wykończył nowy romans ze sfery psychopatek pt.: „La Doulon“.

*** Księgarz Hoepli w Medjolanie wydaje zbiór znakomitych autorów włoskich pt.: „I migliori libri italiani“.

*** Théatre l' Art w Paryżu zamierza wystawić pierwsze pieśni „Iliady“, „Eneidy“, „Piekło“ Dantego i „Utracony raj“ Miltona.

*** Teatr Gymnase przygotowuje sztukę A. Daudet'a: „Le soutien des famille“.

*** Program nowości w teatrze Burgu na bieżący rok teatralny, jest bardzo obfity i urozmaicony; obejmuje on następujące sztuki: „Zriny“ dramat Körnera, „Murzyn cara“ dramat historyczny, „Samotni ludzie“ dramat Hauptmanna, „Ostatnia miłość“ *(Dernier amour)* Ohneta, „Przeszkoda“ *(l' Obstacle)* A. Daudet'a; dalej „Mistrz z Palmiry“ Wilbrandta, „Derby“ komedya Schlesingera, „Cnotliwe dziewczęta“ *(Le virgine)* z włoskiego M. Prageta.

*** W angielskiej literaturze pojawiają się coraz częściej utwory beletrystyczne, osnute na tle życia polskiego. W sierpniu b. r. ukazała się w Londynie powieść pt. „A Secret Mission“ (Tajemnicze poselstwo) pióra jednego z głośniejszych angielskich pisarzy: E. Gerarda. Prasa tamtejsza wyraża się o powyższej pracy z wielkiem uznaniem i zalicza ją do celniejszych w bieżącej literaturze angielskiej. Głównymi bohaterami powieści są: Roman Sterowolski, sztabowy oficer niemiecki, który przybywa do ojczyzny w celu poznania jej środków obronnych i Biruta Massalowska.

*** W Wiedniu obchodzono w ostatnich dniach uroczyście stuletnią rocznicę urodzin Andisa Meyerbeera; w operze grano Proroka po raz 323. Z innych oper Meyerbeera największe powodzenie mieli Hugenoci, którzy w przeciągu lat 50 doczekali się 500 przedstawień.

*** Sześć nieznanych listów Goethego odnalazł w królewskiej bibliotece w Berlinie literat Karol Gaedertz, i podaje o nich wiadomość w znanym tygodniku niemieckim „Das Magazin für Litteratur“. Dotychczas mniemano, że cała spóścizna po wielkim poecie już została wyczerpaną, odkrycie przeto p. Gaedertz'a ma dla niemieckiej bibliografii wielkie znaczenie. Listy te stanowią również cenny przyczynek do wyjaśnienia prywatnych stosunków poety. I tak: List pierwszy z daty: Waimar 26 Listopada 1801 i drugi, pochodzący zapewne z tego samego czasu, wyjaśnia stosunek przyjacielski między Goethem a szwagrem Schillera, w. ochmistrzem dworu księcia Karola Frydryka, Wilhelmem v. Wolzogen. List trzeci z daty Waimar 22 lutego 1815, pisany do radcy legacyjnego, Henryka v. Diez'a, ówczesnego posła konstantynopolitańskiego, mieści w sobie uwagi dotyczące wielkiego mistyka poety Dżelaleddin Rummi'ego. List czwarty z daty Waimar 22 października 1816 odnosi się do ofiarowanego jenerał-majorowi Witzlebenowi tomu „Włoskiej podróży“. List piąty z daty Waimar 9 listopada 1816 dotyczy wydawnictwa pod tyt.: „Meteorologia“, przedsięwzięcia w r. 1820. Jest tu kilka słów wyjaśnienia w przedmiocie tegoż wydawnictwa, skreślonych do niewiadomej osoby. List szósty z daty Waimar 19 Stycznia 1818, pisany do pruskiego generalnego prokuratora i tajnego radcy Huberta Eichhorna, w sprawie ofiarowanego poecie zbioru minerałów, jest o tyle od poprzednich ciekawszy, że odkrywa Niemcom nowy stosunek poety do uczonego mineraloga, jakim był właśnie podówczas radca Eichhorn.

*** W Fibingen zmarł dnia 23go sierpnia znany germai romanista Wilhelm Ludwik Holland ur. w r. 1822.

*** Paweł Lindau napisał czwarty z rzędu romans, osnuty na tle stosunków berlińskich, pod tyt.: „Hängendes Moos“.

*** Niemiecki literat, Leon Berg, drukuje obecnie obszerną pracę pod interesującym tytułem: „Modny naturalizm“.

*** Dnia 23 b. m., jako w rocznicę urodzin Teodora Körnera, ma się odbyć w jednym z teatrów berlińskich uroczyste przedstawienie. E. Wildenbruch napisał prolog na cześć poety.

*** „Droga do Theb“. Oto tytuł najnowszej sztuki Aleksandra Dumas'a, którą obecnie pisze dla sceny teatru francuskiego. Sztuka ma być graną w grudniu tego roku w „Comedie Francaise“.

*** Edward Bellamy, autor głośnych fantazyj o życiu społecznem w XXI wieku, napisał operetkę pt. „Erminy“, która doczekała się pono 1400 przedstawień w New-Yorku.

*** W Wiedniu umarł najstarszy pensyonowany członek opery cesarskiej Draxler, słynny i znakomity niegdyś basista.

*** W Monachium zmarł dr. Grätz, profesor uniwersytetu wrocławskiego, autor klasycznej historyi żydów.

*** „Revue de deux Mondes“ zamieszcza we wrześniowym zeszycie nowelę, pióra Wł. Łozińskiego pt. „Madonna Busowiska“, w przekładzie p. Poradowskiej.

*** Dr. Erzepka odnalazł pomiędzy manuskryptami biblioteki Tow. przyjaciół nauk w Poznaniu nieznany dotąd utwór Juliusza Słowackiego pt. „Krytyka krytyki i literatury“.

*** Oscar Blumenthal i K. Kadelburg napisali komedyę pt. „Powietrze wielkomiejskie“, którą wystawi teatr berliński Lessinga.

*** Personal komedyi i dramatu na nadchodzący sezon zimowy w Petersburgu został już skompletowany. Z podróży swej do Warszawy, Krakowa i Lwowa przywiózł dyrektor Kościelecki dwa tuziny kontraktów, pozawieranych z artystami. Oto główne siły nowo zorganizowanej trupy petersburskiej: panie Czarli, Kłosowska, Kościelecka, Linkowska, Morska, Pichorówna, Siedlecka i Szymańska; pp. Chądzyński, Kamiński, Knapczyński, Konopka, Mielnicki, Popławski, Roland, Siedlecki, Staszewski i Zenowicz. Sezon rozpocznie się dnia 29.

*** Dr. Wł. Matlakowski zebrał w Zakopanem wzory i motywy budownictwa góralskiego, które wydać ma Akademia Umiejętności.

*** W teatrze krakowskim debiutowała p. Helena Parysot w komedyi Augiera: „Syn Giboyera“.

*** W londyńskiem „Ateneum“ zamieszcza A. Bełcikowski ciekawe uwagi o młodych poetach polskich. Dokładnej, a nader pochlebnej ocenie poddaje autor studyum poezye Jana Kasprowicza.

*** W jednym z ostatnich zeszytów lipskiego miesięcznika „Gesellschaft“ znajdujemy przegląd najnowszych utworów literatury polskiej. Krytyk wyraża się najpochlebniej o powieści Orzeszkowej „Nad Niemnem“, uważając ją za jeden z klejnotów współczesnej beletrystyki. „Lalce“ B. Prusa nie szczędzi też gorących pochwał, aczkolwiek czyni kilka zarzutów charakterowi Wokulskiego, niedość — zdaniem krytyka — konsekwetnie przeprowadzonemu. Powieść H. Sienkiewicza „Bez dogmatu“ ocenioną została dość surowo. Zarzucił jej recenzent wadliwość analizy psychologicznej i nawet naśladownictwo Bourget'a. Poświęciwszy wzmiankę najświeższym utworom Jeża, Feldmana, Rapackiego, Sewera, Konopnickiej, Rodziewiczówny, Mańkowskiego i Krechowieckiego, sprawozdawca przechodzi do literatury dramatycznej, podnosząc zalety najnowszych komedyj: M. Bałuckiegn („Klub Kawalerów“) i K. Zalewskiego („Oj mężczyzni, mężczyzni“).

*** Dr. Artur Benis, znany pracownik na polu naukowem wydał temi dniami dalszy ciąg swych „Materyałów do historyi drukarstwa i księgarstwa w Polsce“. Drugi zeszyt zawiera bardzo dokładny spis inwentarzy bibliotek prywatnych w XVI wieku.

*** Przed kilku dniami przyniosły czeskie dzienniki wiadomość o przedwczesnym zgonie jednego z najlepszych „czeskich baśników“: Józefa Brauna. Był on pisarzem nawskróś oryginalnym, samorodnym. Początkowo pracował w redakcyi „Kutnohorskich Listów“, które zamieściły kilka cennych obrazków historycznych jego pióra. Do rzędu najlepszych utworów Brauna zaliczają: „Pamieti krewnich pisarzu“. Na wzmiankę zasługuje również jego aforyzm „Noty“ i powiastka o „Sviceniku Bamarze“.

*** Cezary Jellenta wydał nakładem Gebethnera w Warszawie: „Studya i szkice filozoficzne“, których ocenę pomieścimy.

Za Komitet redakcyjny: Józef Bornsztein.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: Józef Tarczeński.